

Mały Tygodnik

Bezpłatny dodatek „Tygodnika Katolickiego”

Rok 1

Gorzów, dnia 24 listopada 1946 r.

Nr 27

Pierwszy śnieg

Weselej jakoś w duszy,
przez łyzy się śmieje człek!...

Za oknem zwolna prószy
bieluchny pierwszy śnieg!...

Za oknem srebrne płyty,
jakoby roje gwiazd —
sypią się na próg chaty,
na strzechy ludzkich gniazd!...

Czy w dal spoglądam siłą,
czy szukam niebios bram,
te gwiazdki zewsząd płyną
i lecą tu i tam!..

I serce z cicha szepce,
i wzdycha czegoś człek!...

Padają łyzy w izdebce!...

Za oknem pada śnieg!...

E. Kłoniecki

Wśród najniebezpieczliwszych

Jest na świecie taka straszna choroba, co to zwą ją trędem. Człowiekowi nią dotkniętemu otwierają się bardzo bolesne rany. Męczy się taki biedak bardzo długo, aż wreszcie umiera. Jest to bowiem choroba do dziś jeszcze prawie nieuleczalna.

Od najdawniejszych też czasów trędowatych wypędzano ze wsi i miast, zakazując im pod groźbą śmierci zbliżania się do ludzi zdrowych. Chodzili też ci kalecy z dzwon

kami lub kołatkami odstraszać ludzi. Nikt się nimi nie opiekował, nikt się o nich nie troszczył. Marli więc nie tylko z choroby, ale i z głodu lub rozszarpani przez dzikie zwierzęta.

Dopiero chrześcijanie, miłujący wszelką nędzę i nieszczęście, utworzyli 1860 lat temu specjalny zakon braci św. Łazarza dla opieki nad trędowatymi. Założyli oni mnóstwo szpitalików dla dotkniętych tą cho-

roba, a nie troszcząc się o swe zdrowie i życie karmili ich, leczyli i pocieszali. Dzięki temu udało się u nas prawie zupełnie tę okropną chorobę wypędzić. Ale za to w Ameryce Południowej, a szczególnie w Azji i Afryce jest jeszcze blisko 3 miliony chorych na trąd. To też wciąż trzeba dla nich nowych opiekunów.

Jednym z nich i chyba najdzielniejszym był Polak, Ojciec Jan Beyzym. Przez długi czas prefekt uczniów gimnazjum chyrowskiego. Mając już 48 lat, postanowił poświęcić się trędowatym. Pożegnał więc wszystkich na zawsze, bo już stamtąd nigdy się nie wraca i pojechał na Madagaskar. Znalazł tam kilku-

set chorych bez odzieży i żywności, a zdziczałych przy tym zupełnie.

Najpierw więc wyzebrał trochę zapasów i zaczął tych opuszczonych karmić. Później zamieszkał razem z nimi w górach, gdzie wybudował z datków, przysłanych przez Polaków, ładny szpital. „Czarne piskleta“, jak nazywał swych pupilów O. Beyzym, prędko się oswoiły i pokochały swego opiekuna jak najlepszego ojca. To też śmierć jego oplakiwali biedacy długo i serdecznie. I dziś jeszcze po tylu latach pamięć tego polskiego, cichego bohatera żyje na całym Madagaskarze.

Brat Cezary.

Pani Nędza

Była sobie raz stara, biedna kobicina, nazywała się Nędza. Nie miała niczego prócz jednej gruszy w ogrodzie i starego psa, którego nazywała Faro. Ale z gruszy więcej miała trosk, jak pociechy, bo kiedy gruszki dojrzewały zakradali się co noc chłopcy i zrywali najlepsze.

Trwało to już dłuższy czas kiedy pewnego razu zapukał do jej drzwi jakiś staruszek.

— Pani matko — zebrał — trzy dni nie jadłem, dajcież mi coś zjeść!

— Boże miły, toć jedziecie biedaku — powiedziała pani Nędza, bo choć ubożuchna, miała miłosierdzie dla drugich. — Oto wszystko co mam, pół bochenka chleba. Niech wam będzie na zdrowie, dla mnie i mego pieska jeszcze się coś znajdzie.

— Dobrze macie matko serce — powiedział staruszek. — Spełnię wam za to jedno życzenie. Powiedźcie, czego pragniecie.

— Och, jednego sobie tylko życzę — odparła staruszka — aby każdy, kto dotknie mego drzewka, zawisnął na nim i nie mógł się już odczepić. Trudno już wytrzymać doprawdy, tak mnie okradają.

— Niechże się tak stanie — powiedział staruszek, pochwalił Boga i poszedł.

Na drugi dzień wejrzała matka Nędza na swoje drzewko. O retę! Pełne na nim było chłopców i dziewcząt, i matek co po dzieci przyszły, i ojców co chcieli pomóc matkom i ptaków i psów i nawet policjantów, co wszystkich chcieli zabrać do

więzienia. Kiedy to pani Nęcza ujrzała, śmiała się tak, że aż chudym brzuchem trzęsła.

Przez rok cały zostawiła ich tak, na głodzie i chłodzie, aby się nauczyli szanować cudzą własność, potem puściła ich wolno.

W jakiś czas potem puka znowu ktoś do drzwi staruszki.

— Wejść! woła pani Nęcza.

I zgadnijcie kto to był? Śmierć!

— Słuchajcie matko, cosik mi się widzi, że za długo już żyjecie, wy i wasz piesek. Przyszłam tu po was.

— Juści, twoje prawo — mówi pani Nęcza, — ja ci się nie sprzeciwiam. Ale nim stąd odejdę, zróbcie mi jedną łaskę. Tam, na drzewie za chałupą wiszą gruszki, jeszcześ takich nie próbowała: słodkie jak miód. Nie grzech to je zostawić?

— Ano jak tak ładnie prosisz — mówi śmierć, a ślinka jej na gruszki idzie — to zerwę.

Poszła. Ale o rety! Zawisła na kucie na gałęzi!

— Widzisz — mówi kuma nęcza — ładnie ci tam i sucho, postój sobie trochę.

I co się nie dzieje? Nie umierają ludzie. Wpadnie kto do wody — nie topi się. Drugiego samochód przejedzie na drodze — nie czuje. Głowę komu utną — dalej żyje! Kiedy już śmierć wisiała na drzewie kilka lat, zimą i latem, podczas burzy i słoty, zlitowała się staruszka nad nią i mówi:

— Przyrzeknij mi, że oboje z psem pożyjemy ile tylko zechcemy — wtedy cię puszcze. Przyrzekła śmierć wszystko, dała na piśmie, wróciła na wolność. I ludzie znowu umierają, a pani Nęcza wciąż jeszcze chodzi po świecie.

Podczas ofiary

Złączona z Panem przez wiarę
Przeżywam misterium — cud.
Wszczepiona w krzyża ofiarę
Gotowam na walkę, trud;

Jakby w oddali wre życie
Nierówny gorączki — rytm.
Moloch niesytny śle wici,
Nieszczęsnych dobiega krzyk!

Przelewa się czasu fala
Tam, kędy nie masz już tam,
Miłość zapory przepala,
Na ołtarz zstąpił On sam!

Czekałam na Jego przybycie,
Na moment, który już znał,
Na to jedyne przeżycie,
By Bóg pokarmem się stał!

Dolżycka Stef.

ODPOWIEDŹ REDAKCJI

A. C. Solec Nowy, powiat Wolsztyn. Wiersze nie pójdą. Talent może jest, ale to nie wszystko jest. Trzeba jeszcze dać dobrą formę. Należy jeszcze pracować i nie zrażać się trudnościami.

Maria Czeska-Mączyńska

Boża męka

Na rozstaju, gdzie trzy drogi,
stoi Boża męka.

las jej szumi modlitewnie,
a wicher przed nią klęka.

Kłonią się jej maki krwawe
i białe rumianki.
mięty kadzą z trybularzy,
woniają tymianki.

Na rozstaju, gdzie trzy drogi,
Chrystus umęczony,
a po nad nim jarzębiny
koral, krwią czerwony.

Wokół ciche, kłosne łany,
słońcem rozłożone.
jakby przez te krwawe ręce,
pobłogosławione.

Na rozstaju, gdzie trzy drogi,
o wieczornej porze
idą dzieci, by uwieńczyć
w kwiaty skronie Boże;

Cierń, zasłoni róża polna,
a krew, jarzębina.
co ochotnie ciężką gałąź,
ku dzieciom przegina.

Do rozstaju, gdzie trzy drogi,
gdzie ta Boża męka.
przyszły dzieci, każde kornie
u stóp krzyża klęka.

A twarz Boga umęczona
ludzką winą, grzechem.
opromienia się radosnym,
przedziwnym uśmiechem:

Pójdźcie do mnie, ukochani,
pójdźcie miłe dziatki,
przyprawdźcie ojców waszych,
przyprawdźcie matki.

Błogosławić będę z krzyża
tym, co mnie krzyżują,
za to, że mnie wasze serca,
tak cudnie miłują.

Błogosławić będę polom
i tym łanom chlebnym
i tym łąkom ukwieconym
i tym modłom rzewnym.

Błogosławić będę z krzyża,
jak długo na świecie,
przyjdzie do mnie z darem serca,
bodaj jedno dziecko.

UŚMIECHNIJ SIĘ!

Na lekcji historii

Nauczyciel: Antek Jemiola, powiedz mi, kim został Władysław IV po śmierci swego ojca, Zygmunta III-go?

Antoni Jemiola (po długim namyśle): Został sierotą, proszę pana profesora.

U dziadzi

Dziadku, ja nie pójdę już do domu! Zostanę tu u ciebie na zawsze.

— A dlaczego, kochany wnusiu? Coby mama na to powiedziała? Cemu nie chcesz iść do domu?

— Bo tam muszę się uczyć od rana do wieczora głupich wierszy!

— Wierszy? A poco?

— A na twoje imieniny, dziadku!

Adres: „Mały Tygodnik“, Gorzów Wlkp.,
ul. Łokietka 17. — K-15302.